

 Harlequin®

POWIEŚĆ
Historyczna

KASEY

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

MICHAELS



RODZINA DAUGHTRYCH



JAK ZOSTAĆ
MARKIZĄ

KASEY MICHAELS

JAK ZOSTAĆ
MARKIZĄ

Tłumaczyła
Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Tytuł oryginału: How to Tame a Lady

Pierwsze wydanie: Harlequin Historical Romance, 2009

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Marianna Chałupczak

© 2009 by Kathryn Seidick

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

Skład, łamanie i projekt okładki: COMPTXT[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8256-5

Mistrzowsko dozując humor i romantyzm, Kasey Michaels mierzy prosto w serce i nigdy nie chybia.

Nora Roberts

Znana z umiejętności budowania sympatycznych postaci i zabawnych sytuacji Michaels dodaje do burzliwego romansu elementy sensacji i zagadki.

„Romantic Times BOOKreviews”

Michaels wykazuje talent do tworzenia budzących sympatię postaci, które oprócz niewątpliwego uroku oraz inteligencji mają skłonność do pakowania się w kłopoty. Poza tym jej dialogi i opisy skrzą się humorem.

„Publishers Weekly”

Michaels potrafi błyskotliwie napisać wszystko, od miłosnych perypetii na wesoło po całkiem poważny romans.

„Romantic Times BOOKreviews”



Prolog

Zza gęstwiny drzew wyłonił się jeździec na rozpędzonym koniu. Gnał przed siebie z taką energią, że dwa długouche zające z przerażeniem rzuciły się na łeb, na szyję do nory, by uniknąć stratowania. Stado spłoszonych ptaków, które dotąd spokojnie siedziały na wierzchołkach drzew, wzbiło się w powietrze. Ich czarne brzuszki upstrzyły jasnoblękitne niebo, całkiem jakby ktoś zbryzgał firmament niezliczonymi kropelkami atramentu.

Podkute kopyta natrafiły na miękką, świeżo przeoraną ziemię. Klacz lekko się zachwiała, lecz nie straciła równowagi na niestabilnym gruncie i już po chwili galopowała równie pewnie, jak wcześniej. Jeździec pochylił głowę, kolanami ścisnął boki konia, rozchylił łokcie i niemal stanął w strzemionach, na podobieństwo dżokejów, którzy ścigają się na wiejskich jarmarkach.

Zarówno wierzchowiec, jak i dosiadający go śmiałek doskonale znali drogę. Najpierw pokonali żywoplot, a po nim niską bramkę na końcu drugiego pola. Bez trudu poradzili sobie również z kamiennym murem, niezbyt wysokim, lecz o niebezpiecznej szerokości. Tuż za nim podmokła ziemia obniżała się o dobry jard.

Po tej serii przeszkód klacz nadal dzielnie galopowała, prosto ku ledwie widocznej w oddali, wysokiej na pięć belek bramie. Zbliżali się ku niej w błyskawicznym tempie, jakby nie bacząc na to, że tam właśnie czeka ich ostateczny sprawdzian. Pokonanie pięciu belek było najwyższym triumfem, wartym każdego ryzyka.

Koniowi nie brakowało siły i chyżości, lecz całkowitą, niepodzielną kontrolę nad jego poczynaniami sprawował jeździec. Był świadom, że od niezachwianej pewności siebie i pełnej władzy nad zwierzęciem może zależeć wszystko, dlatego też uważnie obserwował otoczenie. Przy tym znał jednak granice wolności, swojej i rumaka.

Bez trudu pokonali kilka pomniejszych przeszkód na drodze ku ogrodzeniu i bramie. Trzeba było odwagi i niepośledniego talentu, a wraz z nim umiejętności oraz wiary we własne siły, żeby przeskoczyć ponad tak wysoką zaporą. I może jeszcze odrobiny szczęścia, lecz to zawsze sprzyjało śmiałkowi.

Klacz potrząsnęła łbem. Mięśnie jej szyi napięły się niczym rzemienie, z chrap buchnęła biała para,

doskonale widoczna w krystalicznie czystym, chłodnym powietrzu poranka. Jeździec niemal wtopił się w rumaka, wyczuwając ostatnie, precyzyjnie wymierzone uderzenie kopyt o ziemię, kiedy wyskoczyli w powietrze. Oboje zdawali się frunąć, jakby wolni od siły przyciągania. Potem przednie kopyta klaczy dotknęły gruntu, a okolicę na nowo wypełnił głuchy tętent, który idealnie współgrał z rytmem szybko bijącego serca jeźdźca. Oszołomiony powodzeniem, stanął w strzemionach, po czym ściągnął z głowy toczek z miękkiej wełny i potrząsnął nim niczym zwycięskim sztandarem.

Fale uwolnionych spod przykrycia kruczoczar-nych włosów spłynęły na plecy jeźdźca i rozwiały się na wietrze. Pełne wargi, jakby stworzone do uśmiechów, flirtów i pocałunków, do ofiarowywania mężczyznom nadziei i przysparzania im zawodu, rozchyliły się w donośnym okrzyku triumfu. Oczy barwy fiołków, częściowo skryte za czarnymi rzęsami, błyszczały nad lekko zadartym nosem i wysoko sklepionymi kośćmi policzków.

Ta sama bryza, która bawiła się ciemnymi lokami, owiała również jędrne, młode piersi, wyraźnie zarysowane pod męską koszulą z cienkiej bawełny, wsuniętą za pasek obcisłych, płowych spodni. Osiemnastoletnia lady Nicole Daughtry dobrze wiedziała, że wielu ludzi z ręką na sercu nazwałoby ją pięknnością, lecz natychmiast dodaliby oni, że jest to piękność nader nietypowa. Mimo to lubiła siebie, delectowała się własną młodością

i odwagą, szczerym charakterem oraz nieujarzmionym temperamentem.

Dzisiaj świętowała oszałamiającą swobodę, wiedziała bowiem, że jutro przyjdzie jej pożegnać się z dobrze sobie znanym światem i powitać nowy, pełen zagadek i niebezpieczeństw. Następnego dnia wyruszyła do Londynu, aby zadebiutować w swoim pierwszym sezonie. Dążyła do tego równie dzielnie, jak przed chwilą do wysokiej na pięć belek bramy.



Rozdział pierwszy

Marzec 1816 roku

Lucas Paine, markiz Basingstoke, był niewątpliwie przystojny podług wszelkich klasycznych standardów: blondyn o przejrzystych niebieskich oczach i szczupłej, lecz muskularnej sylwetce. Do tego ubierał się nienagannie, także miał maniery, kochał owdowiałą matkę i okazywał serce swoim psom. Bywał w najlepszych klubach w stolicy. Ten zawołany jeździec nie stronił od salonów bokserkich, w których gromił przeciwników na ringu, choć powtarzał, iż zdecydowanie lepiej włada szpadą niż pięściami. Nie zażywał tabaki, nie wywyższał się, wielkodusznie tańczył z dziewczętami, które nieodmiennie podpierały ściany na balach, komplementował wdowy, a uprawiając hazard, nie stawiał więcej, niż nakazywał roz-

sądek, choć wszyscy dobrze wiedzieli, jak bardzo jest majątny. Nawet jeśli wspomnieniom po jego zmarłym ojcu towarzyszyła aura skandalu, fakt ten nie zaważył na dobrym imieniu markiza.

Jak słusznie zauważył jego przyjaciel Fletcher Sutton, wicehrabia Yalding, który w ten marcowy, pochmurny dzień spacerował z Lucasem po Bond Street, gdyby markiz miał władzę nad deszczem, ludzie bez wątpienia uznaliby go za półboga. Zarówno Lucas, jak i Fletcher doskonale znali powód tej długotrwałej paskudnej pluchy i przenikliwego chłodu, a także całkowitego braku słońca. Działo się tak za sprawą erupcji wulkanu, do której doszło prawie rok temu na drugim końcu świata, w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu o nazwie Tambora.

– Nie jesteś specjalnie rozmowny – zauważył Fletcher, gdy przystanęli, by rozłożyć duże, czarne parasole. Mżawka akurat przeszła w kapuśniaczek i nie ulegało wątpliwości, że lada moment nastąpi oberwanie chmury. – Ciągłe gryzie cię to, co lord Harper powiedział wczoraj u White’a? Fakt, nie zachował się uprzejmie, gdy po twoim wystąpieniu oznajmił, że zdarzało mu się wysłuchiwać radośniejszych mów pogrzebowych. Poza tym uważam, że ani on, ani jego przyjaciele nie powinni odwracać się do ciebie plecami. Inna rzecz, że Harper do pewnego stopnia miał słuszność.

Wicehrabia Yalding nawiązywał do zdarzenia, do którego doszło w jednym z najwyżej cenionych

klubów w Londynie. Lord Harper, bufon jakich mało, wygłosił złośliwy komentarz na temat „oprychów i innych istot pośledniego sortu, które nagabują go o datki za każdym razem, gdy wychodzi na miasto”. Wtedy Lucas zaskoczył nawet samego siebie tyradą w obronie zmarzniętej, wygłodniałej i przestraszonej ludności. Posunął się przy tym tak daleko, że ostrzegł otaczających go dżentelmenów, iż wstrzymywanie się od podania pomocnej ręki uboższym rodakom będzie miało pożałowania godne następstwa. Żarliwe przemówienie było naprawdę znakomite, by nie rzec wybitne. Co za pech, że nikt z obecnych nie wziął go sobie do serca.

Lucas zerknął na przyjaciela i oznajmił:

– W dniu, w którym popsują mi humor osądy tego pyszałkowatego błazna, wrócę do domu i poderżnę sobie gardło.

Fletcher skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości.

– W takim razie, skąd ta mina? – spytał. – Chodzi o pogodę? Doskonale wiesz, że nie warto się nią trapić, w najbliższym czasie i tak nie zanosi się na zmianę. Uwierają cię nowe buty? Wykluczone, są przecież od Hoby’ego. Zatem dręczy cię inna sprawa. Zachowujesz się tak, jakby właśnie porzucił cię najlepszy przyjaciel, a przecież to nieprawda, nadal trwam przy tobie. Co więcej, jeśli następnym razem zechcesz ponownie zrobić z siebie widowisko, z zapalem wskoczę na krzesło

i zawołam „Słuchajcie, słuchajcie!”, by zapewnić ci stosowne wsparcie.

– Naprawdę? To miło z twojej strony, Fletcher, dziękuję. Tyle że zastanawiam się, czy naprawdę pragniesz podnieść mnie na duchu, czy też raczej chcesz, abym ponownie zrobił z siebie widowisko, jak to wdzięcznie ująłeś.

Wicehrabia Yalding, przystojny dwudziestopięcioletni młodzieniec, uśmiechnął się i na jego policzkach pojawiły się dołeczki.

– W tym rzecz. Nie wiesz, co cię czeka, drogi przyjacielu.

– Jeszcze niedawno nasz zacny książę regent obmyślał plany ucieczki, a jego lojalni poddani byli gotowi powstać, tak samo jak Francuzi zbuntowali się przeciwko własnemu królowi. Teraz za sprawą przekłętego wulkanu borykamy się z wysokimi cenami, rolnicy tracą ziemię, żołnierze cierpią, dzieci zapadają na zdrowiu, gdyż brakuje żywności. Nie przygotowujemy się na skutki takiego stanu rzeczy, a przecież prędzej czy później trzeba będzie stawić czoło wybuchowi społecznego niezadowolenia.

– Pamiętam, co powiedziałaś, ale lepiej daj spokój. Poza tym nie całkiem masz rację. Przecież rząd podejmuje pewne kroki, choć może niekoniecznie w kierunku, który aprobujesz... Uważaj!

Lucas popatrzył przed siebie i ujrzał młodą kobietę, która biegła ku niemu z odwróconą głową, wykrzykując coś do swojej towarzyski.

Druga dama kryła się przed deszczem pod płócienną markizą i czekała, aż służąca rozłoży parasol.

– Lydio, przecież nie jesteś z cukru. Nie rozpuścisz się! – krzyknęła biegnąca nieznajoma. – Powóz czeka tuż obok, zaledwie kilka... Och! – zawołała, gdy wpadła na Lucasa.

Chwytał ją za ramiona i mocno przytrzymał.

– Tylko spokojnie – odezwał się. – Jakkolwiek daleki jestem od wcielania się w rolę nauczyciela, zazwyczaj dobrze jest wiedzieć nie tylko, skąd się przybywa, lecz również dokąd się zmierza.

Dama, której ukryta pod czepkiem głowa znajdowała się na wysokości klatki piersiowej Lucasa, uniosła brodę i popatrzyła na niego.

Czy kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć takie oczy? Czy to możliwe, że w ogóle istniały tęczówki o niezwykle fiołkowej barwie? Twarz w kształcie serca otaczał wianuszek błyszczących ciemnych włosów. Młoda dama lekko wydymała dolną wargę, a na jej prawym policzku pojawiał się i znikał uroczy dołeczek.

– Słusznie – przyznała, jednocześnie uważnie wpatrując się w Lucasa. – Dostrzegam głęboki sens pańskiej wypowiedzi. Ponieważ jednak już wiem, gdzie byłam, siłą rzeczy jestem bardziej zainteresowana tym, co mnie dalej czeka. A teraz proszę mnie puścić, z łaski swojej.

Lucas nie przypominał sobie, kiedy ostatnio ktoś zdołał wprawić go w zakłopotanie. Tym

razem jednak nie mógł zebrać myśli i najwyraźniej oniemiał.

Fletcher dyskretnie trącił go łokciem.

– Ta młoda dama mówi, że już możesz ją puścić.

– Tak, oczywiście. Proszę o wybaczenie. Pragnąłem tylko zyskać niezachwianą pewność, że nie ucierpiała pani w wyniku naszego niefortunnego zderzenia.

– Chcę wierzyć, że jakoś stanę na nogi po tej kolizji – odparła dama z nieskrywaną ironią. – Dziękuję jednak za okazaną troskę. Ach, jak pan widzi, tam stoi moja siostra Lydia, chmurna jak dzisiejsze niebo. Najwyraźniej nie może się doczekać udzielenia mi surowej reprimendy. Jestem przekonana, że za moment po raz dziesiąty usłyszę, iż nie bawimy już w Ashurst Hall i w związku z tym nie powinnam się zachowywać tak, jakby Londyn był dobrze mi znaną wioską. Inna sprawa, że nie jest powiedziane, iż akurat tutaj, na Bond Street, roi się od nikczemników, a gdzie indziej nie ma ich wcale.

– Och, w życiu różnie bywa, proszę pani – zauważył Fletcher. – Nawet z nas mogliby być niegorsi nikczemnicy, gdybyśmy się postarali. – Wymownie mrugnął okiem do Lucasa, który uznał, że jego przyjaciel stanowczo zbyt dobrze się bawi.

– Ashurst Hall, powiada pani? – Choć młoda dama nie liczyła sobie wiele lat, nie wydała się Lucasowi ani infantylna, ani niemądra, a w jej